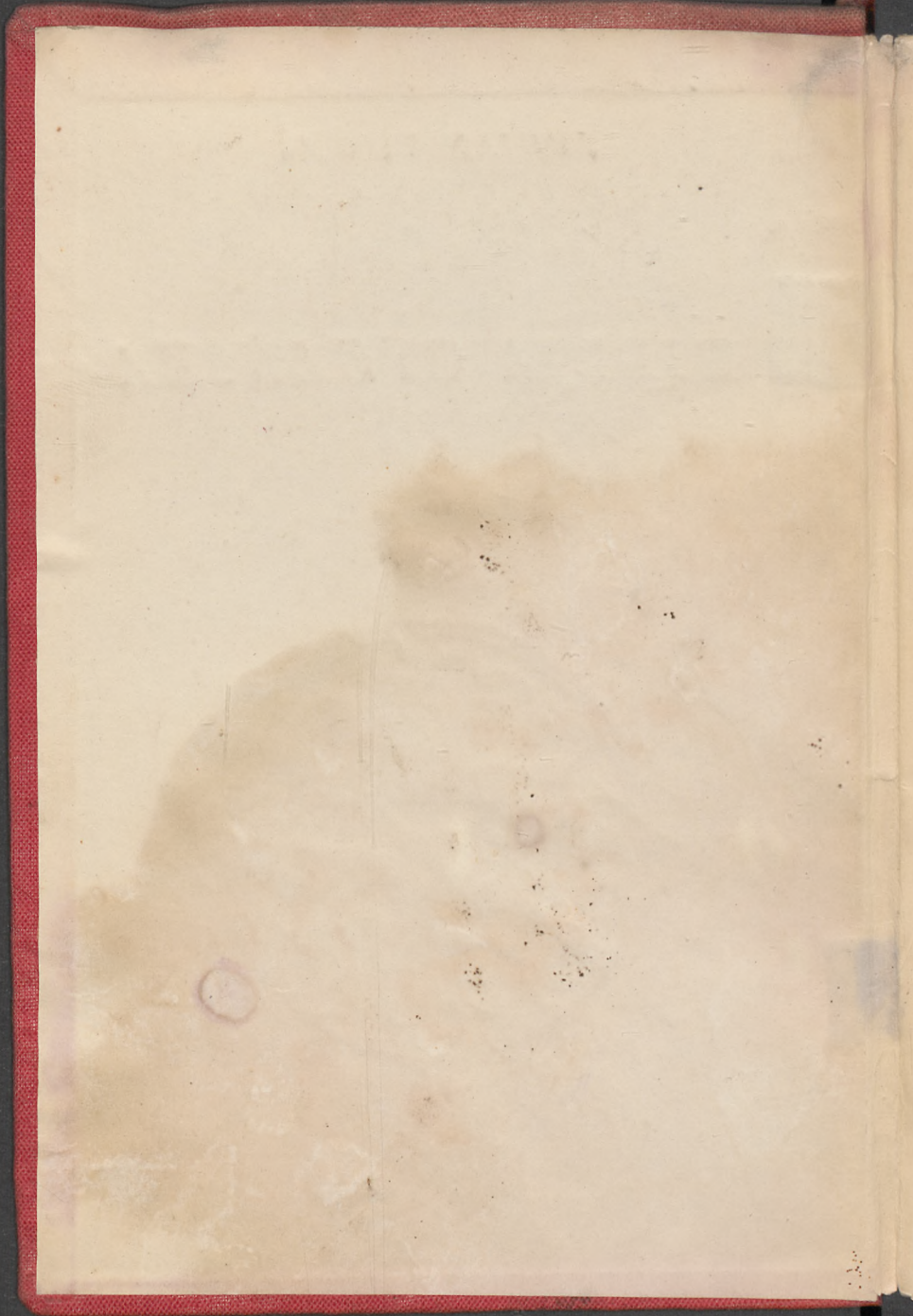


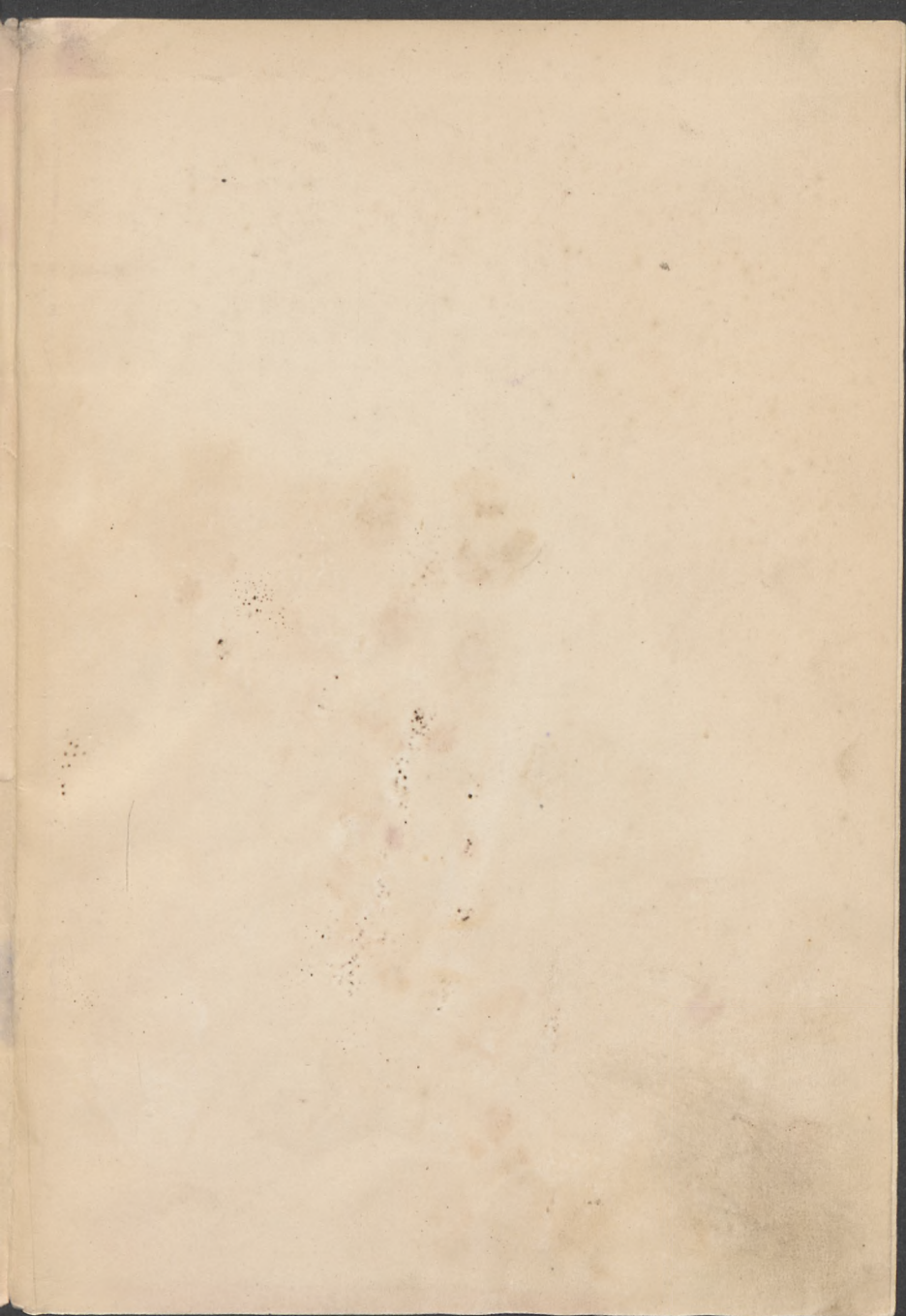
698/11
7.11.859

JULIAN TUWIM

PIEŚŃ CYGANSKA







POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA



WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

JULJAN TUWIM

BIBLIJA CYGAŃSKA

I INNE WIERSZE

WYDANIE DRUGIE



80-25-1 884-1

WARSZAWA MCMXXXV J. MORTKOWICZ

Bibl. Publ. m. st. W-wy

Nab. 37.850



Z. 11859

*Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta 11*

...Горят, одуряя наш мозг молодой,
Лилловые топи угасших язычеств.

Borys Pasternak

...I młody nasz mózg odurzając, goreją
Liljowe topiele wygasłych bałwochwalstw.

*Jaka, sądzisz, jest biblja cygańska?
Niepisana, wędrowna, wróżebna.
Naszepiała ją babom noc srebrna,
Naświetliła luna świętojańska.*

*I aromat w niej, jak mirt roztarty,
Leśny szum i gwiazdarska kabała,
Cień mogilny, pięćdziesiąt dwie karty,
Podkościelny dziad i mara biała.*

*Kto tę księgę odkrył? My, uczeni,
Szperający w starzyźnie pamięci,
Węchem gnani i przeczuciem tknięci,
Pod spód zmysłów i myśli wpatrzeni.*

*Dolinami zapadłej wiedzy
Klechda kręta nurtuje jak rzeka:
I nie w życiu i nie w śmierci, lecz między,
A na śmierć i na życie urzeka,*

TRUD

Tak w sobie wzniecać śmierć jak ja!
Naświetlać się jej blaskiem zimnym
I w huku jaskrawego dnia
Śmiertelnie ziębnąć w świetle innym!

Tak martwo patrzeć w smutny punkt,
Gdzie sen z wiecznością się przecina,
I tam, gdzie drży pustynia sina,
Pod każdą chwilą tracić grunt.

I tam, gdzie brak już ludzkich słów,
O dźwięczny trud się jeszcze kusić!
Z popiołów żywy kwiat wydusić,
Ze szczęścia skonać—i cierpieć znów.

MUZYKA

Ani spostrzeżesz, przyjacielu,
Jak się na muzykę przeniosę.
Dopłynę obudzonym głosem
Do jedyne go celu.

A cel: by zgodził się rachunek
Na kartach niebios czy papieru.
(I w tem podobne są anioły
Do swoich ojców — buchalterów).

Światłami słów, melodji linją
Składasz się w bóstwo, zdźwięczasz w gamę,
W ład, w sumę, w liczbę, którą czynią
Te same myśli, dni te same.

Na dnie wszystkiego śmierć bezdźwięczna
Czeka, byś głucho stuknął głową.
Spadasz — melodia wieczna,
A kiedy spadniesz — słowo.

ŚLAWA

Ledwo zastygną w wierszu niespokojne słowa,
Zlepione śpiewną wiedzą, jak cegły cementem,
Nie radość, przyjacielu, lecz tęsknota nowa
Cieniem pada na dzieło, w tęsknocie poczęte.

O, jakże gorzki wtedy i niesprawiedliwy
Jest szumny zachwyty ludzki i sławy zapowiedź!
Więc podziw niezaszczytny i rozgłos krzykliwy
Każą ustom kamienieć i oczom surowieć.

Każą modlić się codziennie o wielkie anielstwo:
Żebyś małym wierszykiem świat na nowo zbawił,
Żeby laury na czole urosły w męczeństwo,
Żeby ten wieniec z cierni skronie twe rozkrwawił.

WIERSZ Z GŁUCHYM KOŃCEM

Nie grzech, lecz obrzydliwość pusta:
Dobrobyt mój i bystra sława,
I lśniących rymów pełne usta,
I dowcip zwinny i Warszawa.

Nie grzech, lecz smutek i znużenie:
Ten bezwstyd szczęścia codziennego,
I błogość snu poobiedniego,
I wolność — ciężka jak więzienie.

Ratuje — strach, rosnący w piersi,
Zabobon, szczurem biegający,
Rozpacz i łaska zimnej śmierci,
O! nie karzącej. Drwiącej tylko.

DANCING

O, jak błogo w nocnym barze,
W pląsającym zatrzesieniu,
W gromach jazzu, w pijanym gwarze
Omdleć w nagłym zachwyceniu.

Kiedy kopią, szarpia, ranią
Żarem, wrzaskiem, śmiechem, brzękiem,
Cóż dziwnego, że jak anioł
Na niebiańskiej łączce klęczę?

I bezwstydnym korowodem
Oplątany, opłynięty,
Oslupiały taniec wiodę,
Zapatrzeniec, prawie święty.

We mnie ONO muzykuje,
Istność słodka śpiewnie kroczy
I kołując, wypatruję
Nietutejsze jego oczy.

W przeznaczonych dalekościach
Ze snu budzę się i błyskam,
Gdy murzyńskim na rozdarcie
Noc doczesną rzucam pyskom.

ZBRODZIA

ZBRODNIA

Podświęcam Marji Pawlikowskiej

Mówili jej: lilja,
Śpiewali: lilija,
A to była nimfa,
Biedna Ofelija.

Chcesz, bym Nocą nazwał
Ofeliję biedną?
Mogę Nocą, Zorzą,
Bo to wszystko jedno.

Chcesz, żeby na stawie,
Na liściu szerokim?
Proszę, niech nią chwieje
Zzieleniałem okiem.

Chcesz — niech będzie muzą
Ofelija miła,
Bo to wszystko jedno,
Jeśli wiosną była.

Wietrzyk nad nią modry,
Jak obłoczek miodny,
A o zmroku oddech
Chłodnej zieli wodnej.

Przyszła do mnie nocą,
Siadła u wezglowia:
Zaszumiały bory,
Ciemny wiater powiał.

W zawrót ją wkołysał
Przepaścisty wiszar,
Wołała, płakała,
Nikt jej nie usłyszał.

Ale po tej nocy
W poezyjne rano
W wierszu ją znalazłem
Zasztyletowaną.

Śliczna moja, wieczna,
Sedno mego sedna,
Pierwsza i konieczna
Ofelijo biedna!

Dymi się kałuża
Krwi jasno-zielonej,

Zwłoki zaslonilem
Weselnym welonem.

Komu ja to śpiewam?
Komu dzwony biją?
Widmo przeraźliwe,
Straszna Ofelijo!

«DZIONEK WIOSENNY»

Kwiaty rosna z ziemi
Poważnie, powoli.
Tak się piąć, wyciągać,
Sądzę, że to boli.

Świegotają ptaki
Zawzięcie, dotkliwie.
Jak żądłami kłują
Ćwierkiem rozpaczliwym.

Na pastwisku krowa
Nagle zaryczała,
Patrzy zaświatowo
I znieruchomiała.

Jest w przyrodzie boleść
Wzrastania i trwania,
Tylko to szczęśliwe,
Co się w niebyt skłania.

Miłośnicy dumek,
Szumek i sielanek,
Męką się podźwignął
Ten majowy ranek.

Weźcie swe kochanki
Na zielone łąki,
Dręczcie chciwe usta,
Męczcie piersi pąkil

RODZINA

Młode listki kropelkami
Ledwo, ledwo z domu wyszły,
Zwiniętymi zielonkami
Trysły nocą i zawisły.

Dom rodzący, kość soczysta,
Rdzeń od dziadów pędząc z ziemi,
Że go wielka moc zacisła
Łzami wyblysł zielonemi.

Ojciec z matką tak się zrośli,
Tak się w drzewo spleli męką,
Że z cierpienia, że z miłości
Ojczy serce matce pękło.

CIEMNOŚĆ

Wulkan strachu za oknem wyrasta,
Lawą mroku po brzegi napływa.
Huczą głucho piwnice miasta,
Wzrokiem ludzi północ mrukliwa.

Zwierzę ciężkie, gęste, prastare
Z góry długo i żmudnie się toczy,
Zwierzę z głębin, rozlane, szare,
Niską chmurą zasnuwa oczy.

Smutnie wzdycha noc małowonna,
Ciemną wodą piwnice bulgocą.
Tak umarła, pochłonięta nocą,
Ostatnia księżycówna.

EKSPERYMENT

Wiosno! Wyraźnie i dobitnie,
Wyraźnie, dobitnie i ostro
W noc twych narodzin o tobie myślę.
Myślę zimno, spokojnie i ściśle:
Oto
Śnieg
Topnieje.
Oto
Jest
Ciepłej.
Oto kępami ziemi brunatnej
Pulchnieje od głębi wzruszone Powiśle.

Tają lody ostatnie,
Ruszają wolne wody
(Pięknie! choć pseudoklasycznie).
I z zakrzepłej przyrody
Wypływa nowy, młody
Świat

I kwitnie.
Wyraźnie i dobitnie.

I najświadomiej,
Jak fizjolog na preparacie,
Tak ja
Powyższemi słowy
Obnażam nerwy polskiej mowy.
(Nie inaczej naprzykład
Uprawiałbym anatomję)
Tak właśnie spokojnie,
Tak świadomie
Kładę na szklanej płycie
Wiosnę,
Jak żabkę zieloną.
Przecinam wzdłuż,
Otwieram wszerek —
I celnym lancetem
W nerw.
Drgnęła. Więc: życie.

Różnica jest znikoma.
Tyle tylko,
Że zamiast anatoma
Wzięliśmy poetę.
O to mi właśnie chodzi,
Wiosno, wiosno, żabko zielona!
W noc twych narodzin

Leżysz rozpięta na tym papierze,
Piórem zwysoka w sedno twe mierzę.
Zaraz uderzę.

Jeszcze ostatnie spojrzenie
Przymrużonego oka,
Jeszcze ostatnie wahanie
O włos — — —

I

Cios
Wgłąb
Pospolitego słowa.

Drgnęło.
Potopem słońca trysnęło,
I w bezwstydnym gałęziach bzów
(«Bzów»!!!)
Miota się zakochana szalejąca głowa.

I teraz nie wstydz się już słów —
Powiedz o wiosnie: radosna,
Powiedz o wiosnie: miłosna,
Bo to już PRAWDA.

Poecil
Oto jedyny sekret naszego rzemiosła:
Wtargnąć wewnątrz!
I wiosną stanie się nawet wiosna.

Słuchajcie, jakie dziwy się dzieją!
I jak ta wiosna, kiedy ją natnę,
Tętni i śpiewa mi w każdym zmyśle!
«Oto jest cieplej, śniegi topnieją,
Oto kępami ziemi brunatnej
Pulchnieje od głębi wzruszone Powiśle».

* * *

Trawo, trawo do kolan!
Podnieś mi się do czoła,
Żeby myślom nie było
Ani mnie ani pola.

Żebym ja się uzielił,
Przekwiecił do rdzenia kości
I już się nie oddzielił
Słowami od twej świeżości.

Abym tobie i sobie
Jednem imieniem mówił:
Albo obojgu trawa,
Albo obojgu tuwim.

WIERSZ

Gdy wiem,
że wiersz
powstanie,
w klamrę nawiasu zamykam
świat
i przed nawiasem stawiam
znak
funkcji, czynnika.

Wtedy zaczyna się działanie,
dźwięczne i szybkie rozmyślanie,
aż wiersz,
jak zadanie
algebraika,
na czarnej tablicy wyraźnie wynika.

Potem
nawias otwieram,

uwięzione wypuszczam żywioly,
czarną tablicę z działań wycieram.

I wracam wesoly
do domu ze szkoły
i w domu z miłości umieram.

SUMA JESIENI

Więdną godziny powolne. Wątleje chwila za chwilą:
To gałąź zatopiona w jesieni. Sunę po niej
Milimetrami smutku. Męcząca, uparta praca.
Strącam sekundy z dnia. Listki z gałęzi strącam.

A co jesienią nazwałem? Wielkie głębokie westchnienie:
Moje, człowiecze, wzniesione z dna jeziornego, chłodnego.
Ręce przez okno zanurzam w jeziorze dnia i jesieni.
Dreszcz po nich skacze. Deszcz kropi. Listki i chwilki
strąca.

ŚWIATŁO

W szkło stopione z aluminium
Blask wbarwiłeś neonowy,
W szkłe elektron karminowy
Ostro lata bystrą linią.

Światłu w szkłe jak w domu własnym,
Prąd w metalu jak w ojczyźnie,
I spławione, jedne, bliźnie,
Wiją się w łożysku jasnym.

I ta sama moc rodzima,
Krwista, krewna więź zaciekła
Oczy me wtopione trzyma
W rubinowym biegu reklam.

I to samo wino ognia
W rurkach żywych żył ukryto.
Pędź, radosna! goń, przewodnia!
Muzo bystra, Elektryto!

AKWARJUM

Dziedzina jest wodnista. Światłu tu nieswojo,
Rośliny się leniwie przemieniają w ryby.
I ja, chwiejny, wpatrzony jak się dziwy dwoją,
Myślam zarybiłem ocean z za szyby.

Mgli się teatr żaloszny w tym sześciennym metrze
Morskich głębin, żywiołu na emeryturze.
Woda jest jak śmiertelne zielone powietrze,
Łudzące grą załamania i płonnych wydłużeń.

Wioną z mgielek wycięte podwodne motyle,
Ledwo-kwiaty, co dyszą... aż strach że urosną.
Myślisz: pluskają srebrne upletwione chwile,
Myślisz: o, jakże smutno być tu rybią wiosną.

Myślisz długo i czule. I własne tve oczy,
Szare oczy topielcze, za taflą odbite,
Rybieją — i wlepione spojrzeniem proroczym
Smutne morze wciągają w osleplą orbitę.

FAKT Z REDAKTOREM

Jak on mnie nudził! Ledwo nie zamęczył
Projektem pisma, kontaktem z zagranicą,
A ja wtedy właśnie po stromych schodach bez poręczy
Zjeżdżałem ślepy, porwany beznadziejną ślizgawicą.

Jak mu to wytłumaczyć? Jak przerwać
wieczystą mowę
O wymianie myśli i nawiązaniu stosunków?
«Kulą ze śnieżnego selenitu». Tą kulą rosłem w sobie,
Staczałem się w śmierć pełną światła,
W szklaną cysternę ugwieżdżonego trunku.

Wreszcie, gdy mi do oczu przystawił zagrożoną kulturę
I urósł wieżą na stole, wieżą spiętrzonych tematów,
Dosłownie przetłumaczyłem na światło
całą współczesną literaturę,
Kulą buchnąłem w otchłań
I opryskałem zdumionego redaktora
pluskiem zaświatów.

MUZA

Aptekarzowa w papilotach,
Różowa, duża, z zadartym nosem,
Od rana śpiewa wysokim głosem
Romans «Moja tęsknota».

Jej szlafrok w piórach, jej suczka kipi
W kudlatej pianie białych kędziorów,
Jej myśli — w łóżku króla tenorów,
Gdy kawę z kozuchem chlipie.

Srogi, wapienny żar nad rynsztokiem
Kurzy się nisko płomieniem suchym,
A ona — trele, wstążki i loki,
A ona — ptaszek obłocznym puchem.

Przeto i baba w piecu drożdżowa
Puchnie i rośnie pachnącem ciastem.
I pofrunęła aptekarzowa,
Z «Moją tęsknotą» buja nad miastem.

— Żółknący mężu, czapło apteczna,
Nosem dziobiąca recept lacinę!
Nad niebiosami twego miasteczka
Za pulchną Muzą, śpiewając, płynę.

* * *

Wielkie chorągwie nad estradą,
Strażacy siedzą, w trąby dmą.
O, zamknij oczy—i opadaj,
Nawznak opadaj w istność swą.

Dzień rozdrażniony wrzaskiem owym,
Błękitu nasunięty strop
Jednem wrózebnem odczyń słowem
I jednym gestem odsuń wgląb.

I w siebie mając wzrok utkwiony,
Krwi zataiwszy bystry tok,
Wchłoń poniektóry zmrok miniony,
Prastary, łonny bytu zmrok.

Jak jeździec na wielbłądzim garbie
Ciałem się słodko odchwiej wstecz,
Zamrzyj—lub umrzyj stąd bez skargi
I urodź się w zamierzchlą rzecz.

I z duszą, odnowieniu radą,
Jak miraż przez pustynną głąb
Ujrzysz chorągwie nad estradą,
Usłyszysz ryk świątecznych trąb.

(z *Władysława Chodasewicza*).

OWOC

Ssącym opłotem myśli, ośmiornicą woli
W uścisk drzewo chwyciłem, żeby je zwyciężyć:
Wiedzę o niem nieludzką tak sprężyć, wyteżyć,
Aż toporem rozwali i drzewość wyzwoli.

Od najstarszych korzeni po najświeższy listek
Tloczę się w treści zbitej, uparty i chciwy.
Jak krew we mnie, ja w drzewie biję niecierpliwy,
W każdym ziarnie — ja cały, w każdym włóknie —
wszystek.

Aż spełnię się. Zalęgnę najśłodziej w zawięzi,
Okrągając, barwiejąc soczystym narostem.
I własna dłoń mnie zerwie z ciężarnej gałęzi,
Własne usta spożyją przemienioną hostję.

STRZELANINA

W deskę stali hartowanej
Walę celnie z rewolweru,
Lecz się kule rozpluskują,
Jakbym wrzącą rtęcią spluwał.

Nie odskoczy, gdy uderzy,
Bo nie zdąży—i z rozpędu,
Kipiąc, pławi się i kapie
Lśniącą kroplą metalową.

Jeśli pragniesz, przyjacielu,
W wierszu znaleźć alegorję,
Wysnuć moral lub naukę,
Pozostawiam ci swobodę.

Doczep sobie co uważasz
Do tej stali, palbą bitej:
Trach! trach! trach!—a my gwizdżemy.
My— to znaczy: ja i kule.

WIEŚ

Smagły dzień, cygański maj,
Pachnie mocno wiatrem i chlebem.
Kraj brunatny, zorany kraj,
Niebo zorzą spięte z czarnoglebem.

O, nie wiosna — sama wieśń,
Żyzność młoda co krok się łąci.
Literami wszedł czerwiec w wieś,
Tkwi jak pestka twarda w mięsie wiśni.

I gdy wzrok nabiega krwią
Na wesole, wiśniowe wyjezdne,
Łuna bije w wieczorny dzwon
Na złocone noclegi, na gwiazdne.

A tam — gwiazdy, zorze, dźwięk i śmiech
W sen się zdzwonią, w jeden aniołpański
I wystrzelisz trzaskiem ognia ze strzech,
Wiejski dniu, smagły maju cygański!

CZTEROWIERSZ

Miotam się, kołuję, rozpaczliwie młody,
Jak pastylka Vichy w szklance wrzącej wody,
I ginący płonę i płonący tonę:
Szumne dziś, w ukropie wiecznym utopione.

KURACJA

Serce bystre, serce spalinowe,
Jak łomocą odmęty twoje!
Biorę krople walerjanowe,
Ale już się nie uspokoję.

Bo i jakże się uspokoić
W takim świecie, gdzie z każdą wiosną
Nawet kwiaty, zamiast ukoić,
Już tem straszą, że znowu rosną.

Doktór pilnie przy sercu sapie,
Słucha, jakie tam głębie płoną
I doradza hydroterapię;
A ja mruczę: «Wodą święconą»...

WIZYTA

Odwiędził mnie raz przykry gość,
Wizyta była krótka.
Doradzał coś, tłumaczył coś,
Wystrychnął mnie na dudka.

Na karcie było: Doktor Zet.
Incognito się zjawił.
W lansadach do pokoju wszedł
I mętnie o czemś prawił.

A jak się w gracji słodko wil!
Jak wdzięcznie siedział boczkim!
Z rękawa psztyczkiem strącał pył
I mrugał tłustem oczkiem.

Sluchając go wiedziałem, że
Nieczysta to afera;
Że szelma jest, że głupio lże,
Nabiera mnie, nabiera!

Ni w pięć ni w dziewięć bzdury plótl,
Cytował biegłych w Piśmie,
Zamroczyl bestja mnie i zwiódl,
A niech go dunder świśnie!

Gdy jął się płaszczyć, łasić, lotr,
I w niebie mnie kołysać,
Gdy wypił, szepcąc: «A la votrel»
Musiałem skrypt podpisać.

I odtąd chodzę błędny, mdły,
Krokami z nad przepaści
I szczerzą do mnie żółte kły
Ojcowie eklezjaści.

W niedzielę do piskliwych dam,
Chichocąc, wciąż się mizdrzę
Lub w bilard z facetami gram
I kupleciki gwizdzę.

Melonik mój, krawacik mój,
Ubranko kuse, wcięte,
Ach, wszystko, wszystko, jak ten strój,
Na dudka wystrychnięte!

Nie pomógł żal, nie pomógł post
Ni modły przed ołtarzem.

W pysk trzeba było gościa wprost,
Jak Luter, kałamarzem!

Uczyli mnie skutecznych sztuk
Bodinus i Del Rio,
Więc było cisnąć go do nóg
I stłamsić podle ryjo!

A teraz co? Ha, ha, hi hi,
Spacerkiem poprzez miasto,
I w pustej piersi wieczność mdli
I patrzę wylupiasto.

Poprawiam, gwizdząc, krawat pstry
W przepastnych szybach wystaw
I szczerzy do mnie żółte kły
Ponury egzorcyста.

SKANDAL

W mózgi wysoko bilo wino
Kolorowemi fontannami.
Nad ranem wiatr i walc popłynął
Świeżem powietrzem i pannami.

Po walcu — koniak. Koniak dobil.
Skazał na śmierć, na ścięcie czekał.
Człowiek uderzył w twarz człowieka,
Zaszlochał człowiek: «Co pan zrobił!»

I kiedy wszyscy: w mordę! w mordę!
Śród brzęku szkła i kobiet wycia,
Gdy śród oklasków mordobicia
Grom dnia uderzył w nich akordem:

W komzach obrusów białe stoly
Frunęły wgórę jak anioły,
A na suficie (na niebiosach)
Krzyczała krzywda wielogłosa.

LISTY MIŁOSNE

Inkunabuły, papyrasy, palimpsesty!
Słowa runiczne! Etruskie słowa!
Jak odcyfrować serca szyfr bolesny,
Hieroglificzne już dzisiaj gesty?
Jaki smutek! jaka żaloba!

A pamiętam, jak słówko po słówku,
Jak okrzyk po okrzyku, jak chwilkę po chwilce
Wbijalem w marmur karty drgającą stalówką:
Wiekopomnym moich cierpień rylcem.

TEMAT

Sypkim puchem z rozprutej pierzyny podniebnej
Wyfrunęły, kołując, lotne śnieżne płatki.
I o tem wiersz napisać? Choć miły, choć gładki,
Lecz z łaski nieproszonej, bo komu potrzebny?

Może, gdybym miał synka, dziecko zabobonne,
Pierwszym strachem wpatrzone w śnieżycę zawilą,
Napisałbym dla niego tę nieprawdę miłą.
A tak — lepiej przemilczeć. Popatrzę. Zapomnę.

ZŁOTA POLSKA JESIEŃ

Korporanci na motocyklach
Pędzą w sprawie patriotycznej,
Uradzonej na konwentyklach
Jednomyślnie i spontanicznie.

Idę jesienią naukos.

Oburzeni oficerowie
Domagają się interwencji
I meldują w drodze służbowej
Na audjencji u ekscelencji.

Idę jesienią naukos.

Delegacja obywatelska
Deklaruje znaczne ofiary,
Reprezentant nauczycielstwa
Do katedry wiezie sztandary.

Idę jesienią naukos.

Proletariat zorganizował
Wiec masowy za rewolucją,
Idzie właśnie kadra szturmowa
Z transparentem i rezolucją.

Idę jesienią naukos,
Przepływam taflą przekroju,
Cięciem lustrzanem rozcinam
Nieziemską ojczyznę swoją.

CEL

Szukałem tego w Paryżu, szukałem w Berlinie i Rzymie,
A to za oknem było i miało polskie imię.

Myślałem, że to potęga, świat nowy, nowe dzieje,
A to ogródek wiejski, co się kwiatami śmieje.

A to groszek pachnący, georginie i malwy,
Wymalowane słońcem w proste, włościańskie barwy.

Teraz kołysz się, kołysz, nierozumna głowo,
Że w ogródku niebiesko i płowo i różowo.

Szukałem tego pogonią — niecierpliwie, proroczo,
A to mi z paru grządek ukazało się oczom.

Będę jeszcze w New Yorku, będę w Moskwie i Hadze,
Da Bóg, to i o Tokjo, to i o Tokjo zawadzę.

APOKALIPSA

Ciosami światel ciemności rozciął
Blask stutysięczny, nożowy zamach.
I noc, podżgana elektrycznością,
W oślepiających stanęła ranach.

Zorzo zbrodnicza, tęczo pożarna,
O, fajerwerku bożka Philipsa!
Jakich objawień pali się barwna
Amerykańska apokalipsa?

Kto idzie? Bokser. W kulakach — olów,
Zęby na wierzchu: zbawiciel nowy.
I chwali Pana wrzask apostołów
Z krwawo rozdartych szczęk kwadratowych.

SPOSTRZEŻENIA W WAGONIE SYPIALNYM

1. W bezsenne podróżne noce
Korytarz sleepingu jest upiorny,
Na mosiężnych klamkach dygoce
Odblask potworny.
2. Chodzę wprost — wzdłuż — z biegiem.
Potem z powrotem — naprzeciw — wbrew —
Krokami odwróconego pędu.
3. Oto trzęsący się kanał oblędu,
Rozpryskujący miedzianą krew.
4. Gdy wskoczy na expres i dęba stanie,
Torpedą wylecę.
Świecący spadnę w otchłanie.
5. Już teraz nawet fosforycznie świecę.
Jest to: przygotowanie.
6. Dudni i wali coraz prędszej.
Kiedy śpię w domu
Tak samo pędzę.

BURZA (albo MIŁOŚĆ)

Zamknij pamięć, bo idzie burza,
Wiatr franki nadyma.
Idzie burza, niebo się zachmurza
I patrzy mojemi oczyma.

Zamknij oczy, żeby noc opadła
Na burzliwe, na huczące dalekim gongiem.
Wieją franki, jak widziadła.
Zamknij okno. Rozpacz nadciąga.

Między oknem i pamięcią — przeciągiem
Ciemne myśli, jasne oczy — a przez ulicę
Dumy szumne i żalobne chorągwie.
Zamknij życie. Otwórz śmierć. Już błyskawice.

O SOBIE

Wybiegłem, żeby miasto zburzyć,
Krzyczeć z miłości na rynku.
Lecz już w bramie zacząłem się chmurzyć,
Powłóczyłem się, jak widmo, do szynku.

Upiłem się prędko, gwałtownie,
I kiwając się nad mokrą blachą lady,
Tonąłem w niej, błędny i blady,
Szczęśliwy niewymownie.

Zapłaciłem, udając zucha,
Ale już nadciągało, przekłęte.
I zaczęło zawodzić lamentem,
Jak wiatr halny, jak zawierucha.

Oslupiały, oparty o ścianę,
Słuchałem, jak wzbiera świat.
W rozpaczliwą nieskończoność lat
Gnały oczy niepowstrzymane.

Tak na murze rozpostarty w męce,
Z pod stóp uciekającą gonilem ulicę,
A żona, siostra i rodzice
Wyciągali do mnie ręce.

ODPOWIEDŹ

Otóż: trzeźwy do domu nie wracam.
Ty mnie zrozum, nie chcę cię zasmucić,
Lecz katorgą jest ta moja praca:
Trzeba upić się, żeby wogóle WRÓCIC.

Bo właściwie — trzeba wyjść i iść dalej,
I dom rzucić i ciebie odrzucić,
Coraz większych potrzeba oddaleń,
Coraz pewniej nie można WRÓCIĆ.

I dlatego trzeba się upić,
Żeby siebie do szczętu zapomnieć
I dopiero na schodach — oprzytomnieć,
Tak na palcach, jak ja wracam, WRÓCIĆ.

TRZY LATA

Jeden dzień listopada leży na podwórzu, owinięty w zeszłoroczną swoją gazetę. Dzień leży od zeszłego roku w śmiertelnej swojej koszuli: ta sama data. Dzisiaj ma rocznicę. Nazywa się: 26.XI. 1930. Przez cały czas nie zmieniał tych liczb.

Wyrzucono go kiedyś przez okno. Nie kiedyś, ale właśnie 26.XI. 1930. Gazeta jest przemoknięta, ale dostrzeżesz jeszcze datę: 26.XI. 1929. Zawinięto dzień w zeszłoroczną jego gazetę i wyrzucono.

A dzisiaj mają rocznicę: i dzień i gazeta. Dziś: 26.XI. 1931. Dzień — pierwszą, gazeta — drugą. Rocznicę narodzin, śmierci, wyrzucenia.

Patrzę na to przez okno — ja, pośmiertny.

TRAGEDJA NAD JEZIOREM

Niebo, wybite draperją chmurną,
Niebo w akordach, w gniewie aniołów,
O, nie jeziorem być tobie, urno
Niepomysłanych wielkich popiołów!

Działy się tutaj olbrzymie rzeczy,
Walki natchnione, pasje szalone,
I tak zastygło od tysiącwieczy
Nierozwiązane, niewyrażone.

I tylko wietrzyk przyćmiony wieje
Lekko i strasznie, jak płaszcz upiorny,
I samobójcza skała czernieje
Cieniem kamiennym w głębi jeziornej.

Szekspirze! Niema już ludzkiej męki!
Skale żalobnej krzyknij: «Milady!»
I tym okrzykiem i gestem ręki
Zacznij akt piąty niemej tragedji.

Rozwiąż tej ciszy kształty potworne
I wyzwól głazy z oków cierpienia!
Chórem tragicznym daj nową formę
Znieruchomiałej burzy milczenia!

... ET ARCEO

Odi profanum vulgus. Kościół czy kawiarnia,
Republika czy kino, wiec szewców czy armja,
Naród, gmina, rodzina, uczelnia, czytelnia —
Wszystko chaos i zgroza i pustka śmiertelna.

I w tem hucznem stuleciu tyrańskiej wspólnoty,
Śród głupich wielkorządców i tępej hołoty,
Gdzie patos lwi rozdyma mrówczą krzątaninę,
Gromadząc ludzkość w nudną, mieszczańską rodzinę,
Gdzie pustego kościoła krzykliwi papieże
Na gruzach Babilonu — babilońskie wieże
Wznoszą pośród szwargotu wyszczekanych maszyn
A chciwa czerń szpieguje samotność serc naszych,
W tym wieku rozjątrzonem, wydętym, okrutnym —
Przechodzę, mijam, milczę: obcy, zimny, smutny.

WSPOMNIENIE RYZMU

Gromowladyko Dzewsie!
Czas uderzyć! Odezwij się!
Widzisz ten dumny, kościelny tum?
Ogniem i orłem wznies się
I krąż, praojcze, i szum!

W krętym, górzystym Rzymie
Czai się grzech starodawny.
Lotem ogromnym na gwiazdzistym niebie
Imię swe napisz, gromodzierżawny!

Dzewsie, ognisko kary,
Tryśnij złotemi żądlami
Błyskawicowych zmij!
Zatrząś się rzymski wikary.
Zjaw się nad nami!
Ogniu i orle, grzmij!

ZACHÓD

1

Na horyzoncie
Mosiężnym felczerskim talerzem
W ziemię wcina się słońce dzwoniące,
Barwą oliwną gorące,
Świecące kuchennym moździerzem.
Dzwońcie, metale, dzwońcie!

Na horyzoncie
W czerwonozorzu
Blachy hucznego blasku łopocą,
Głębie łbami w dzwony grzmocą,
Kuźnia płomieni w morzu,
Krwawisko gore w morzu.
Płońcie, metale, płońcie!

— Zaganiaj do obory krwawo-miedziane woły,
 Zwóz snopy złoto-chrzęste do pękatej stodoly,
 Zgarniaj garściami dukaty-czerwieńce,
 Rąb toporami bryły granitu na romby,
 Wbij w kipiące orkiestry ostrogłose trąby,
 Beczkom burgunda odbij dna.

Niech po niebiańskich wybojach gna
 Faetonowy furgon chlastających barył,
 A ty jeszcze z wiatrem za nim puść
 Jarzębinowe wieńce dyskobołem!

Jazda pieninami chmur, tatrami zórz,
światła podolem!
 Żagwiącym pragniesz kaukazem?

O, i kaukazem możesz!
 Patrz! nie dekalogami, ale całemi synajami
ciska gorejący Mojżesz,
 Całe wisły i wołgi ciekłego kotłują rubinu,
 I gradobicie róż i spienione bałtyki bursztynu,

À cegły z fabryk i z ulic bruk
Wyrzywa rewolta kolorów i form —
I w gruzy tęczowel i wali się bóg
I strzępy sztandaru nabija na piorun.

Takiego nieba nie pamiętali najstarsi ludzie,
Z takiego nieba religje nowe w stulecia płyną,
Lud się biczuje, w zakony zbiera, krzycząc o cudzie,
I wieki potem żyją tą jedną dziką godziną.

Później jest mały kościółek wiejski z barwnym ołtarzem,
I nabożeństwo odprawiający nie wie ksiądz pleban,
Że tłum na klęczkach i śpiew błagalny i tępe twarze:
Że się to wszystko poczęło niegdyś z takiego nieba.

I za lat tysiąc nie będzie wiedział ów papież nowy,
Z gwardją pstrokatą na stupiętrowym siedzący tronie,
Że to runęło z takiego nieba w wieczór lipcowy,
Że niebo zgasło, niebo ucichło, a wiara płonie.

VENUS

1

Gdy Venus miała szesnaście lat,
Zauważyli rodzice,
Że się dokoła kołysze świat
Gdy piękna córka idzie przez ulicę.

Ona doprawdy niezwykle szła:
Jakgdyby siebie wiodła.
A wiatr napływem płynnego szkła
Nogi jej rzeźbił po same biodra.

Łasiły się po kształtach jej
Nieopisane jedwabie.
O, chwiej się wiosno! o, wietrze, wiej!
Dziewczynie wciąż słabiej i słabiej.

Ojciec bogini przed sklepem stał,
Nieskromnie śledząc jej kroki,
I kazirodczem wpatrzaniem drżał
Na dwojgu piersi twardej i wysokiej.

Matka — najczulej. Ale i ją
Grzeszny niepokój laskotał:
Że ktoś Venusię tej nocy wziął.
Była w tym lęku zazdrość i tęsknota.

Odgadła matka. Piał się i piał
W dziewczynie zachwyty omdlały,
I szczyty piersi nabiegłe krwią
Ogniem różowym jak Jungfrau pełgały.

Wzbierała od samego dna
Słodycz wysokopienna
I dalej wzbiera śród blasku dnia
Najmiłościwiej senna.

Ach, ojczy, matko! Czy to jest śmierć,
To co tak w sercu wali?
I szpilką mocno w lewą pierś
Wbiła wiązanek konwalji.

Gdybyś kwiaciarnie widział! Burza i wrzawa młodych,
Bunt, «do ogrodów wracamy!»

i szturmem w witryny strzeliście,
Liście rośliny hurmem płatawą kwiecica i lodyg,
Woniejąc, barwiejąc nazabój,
w kipiący zwierzęcy wyścig.

Nie krawaty — trytony, kameleony i zmije,
Grają pstrokate terrarja i kolonjalne zwierzyńce;
Jak arsenał, wybuchła gromami ducha księgarnia:
Tłum bohaterów dziwacznych wyskoczył z powieści
i wyje.

Nie wytrzymały konserwy — eksplozja za eksplozją,
Mieszczanie z okien trąbią,
święci śpiewają w kościele,
Huknęło wielkie wino wzburzoną do głębi ambrozją,
Orkiestry z bram! Armja — ognia!
Straż pożarna — mściciele!

O, mocne cięte ciosy zaborczych ust! O, spieniona
Nad ulicami głębino poezji i błękitu!
— Czego ty chcesz od dziewczyny,
zakwitłej w twoich ramionach?
— Nadmiaru, Dionizosiel!
Przerostu, pożaru, zachwytu!

PRZECHODZIEN

Słowik świdrem zawziętym ciał,
W noc się wkręcał, klaszczący w listowiu.
Tyś go słuchał i z trwogą i z czcią,
Z miłą wiarą, że dowierci się nowiu.

I wyblysnął draśnięty nów!
Ach, i cóżes mi narobił? co mi wyśnił?
W księżycowe mrowisko snów
Kij wsadziłeś, przechodniu lekkomyślny!

Teraz ulecz, nie odchodź, stój,
Bo słuchając majowej muzyki,
Pomyśl, pomyśl, straszny cieniu mój,
O co wszystko będę prosił słowiki?!

PTAKI

Pan zamknął się w sypialni
I śpiewa wysokośćom,
Pieje kogucie psalmy,
Buduje ptasi kościół.

Trzepoce pan, skrzydleje,
Nurza się śpiewem w zorzy,
A pani biedna mdleje
I cucą ją doktorzy.

Obudził się północą,
Zahuczał kościelnym dzwonem,
Że niebiosą łopocą
Ptactwem nieprzeliczonem.

Jak na pustyni, na łożu
W świętej miotał się wojnie!
Poduszki prując nożem,
Uwolnię, krzyczał, uwolnię!

I już mu w czaszkę wpina
Krwawy grzebień zorzany
Nadciągający kardynał:
Brzask, kogut zarzezany.

Stosy gwałtowne pali
Pod fruważacem pierzem,
A słońce w okno wali
Skrzydlatym Ptakiem-Papieżem.

Opadła niebieska głębia
Hymnem, szczęściem i puchem.
Bezmiar się rozgołębia
Ojcem, Synem i Duchem.

DO LOSU

Miłość mi dałeś, młodość górna,
Dar ładu i wysokie żądze.
I jeszcze, na uciechę durniom,
Raczyłeś dać mi i pieniądze.

Płonącą kroplą obłąkania
W mózg szary mój wsączylesz tęczę.
Miraże wstają wśród mieszkania,
Palcami w stół na lutni dźwięczę.

I gdy poniosło, to już niesie,
Roztrącam dni i rwę na części,
I w zgiełku wieku i w rwetesie
Ubrdało mi się jakieś szczęście:

Rytmowi przebieg chwil powierzać,
Apollinowym drząc rozmysłem,
Surowo składać i odmierzać
Wysokim kunsztem słowa ściśle.

I kiedy kształt żywego ciała
W nieład rozpadnie się plugawy,
Ta strofa zwarta, zwięzła, cała,
Nieporuszona będzie stała
W zimnym, okrutnym blasku sławy.

Smutku! Uśmiechu! Melancholjo!
W bęben żałobny bije gloria...
I smutnie brzmi: «Dum Capitolium...»
I śmieszne jest: «Non omnis moriar».

TRUDY MAJOWE

Trzeba kochać po majowemu,
Jak najgłupiej i jak najprościej,
Cierpieć, ginąć, nie wiedząc czemu,
Nie dla ciebie lecz dla miłości.

Zaplątany w zabawę bzową
Musisz w gąszczu wikłać się rośnym
I roztrącać wężącą głową
Zgiełk i trzepot wesolej wiosny.

Nocą długo kochać w ogrodzie,
Potem spacer w mrok samotności,
Wolno, smutnie, bo tak się chodzi
Za pogrzebem swojej młodości.

I tak krocząc za karawanem
Umajonym szczęściem zielonem,
Mruczeć głupstwa nieporównane,
Głupstwa niczem niezastąpione.

ROZWAŻANIA W CUKIERENCIE

Niebosiężne budowle,
Loty, zwiady cudowne,
Złoto, potęga, sława,
Królowanie, władanie,
Nawet wierszy składanie —
— Nie człowiecza to sprawa.

I rzecz nie jest człowiecza
Bóstwem pójść w tysiącwiecza
I ludzkość męką zbawić,
Ani zdobywać włości
Dla szczęścia potomności
I legendę zostawić.

Ani w gwiazdy patrzenie,
Ani ludom wieszczanie,
Ani burza zawrotna.
Nie poto człowiek żyje,
Nie poto w ziemi gnije,
Marność wszystko stokrotna.

Ale rzecz jest człowieka,
Gdy na dziewczynę czeka
Długo, długo, wciąż dłużej...
I zasluchany w ciszę,
Śmieszne imię jej pisze
Zapałką na marmurze.

SCHERZO

Śpiewała wesoło — i nagle w śmiech,
Sam śpiew ją rozśmieszył: że śpiewa.
I śmiech zaczął sypać ze śpiewem jak śnieg,
I śmieje się, śmieje, zaśmiewa.

Bo jak się tu nie śmiać? Wydłuża się głos
I dźwięki i dzwonki nawija
Na nuty, na nitki, na strunki jak włos
I piankę ze srebra ubija.

Wesoło się śmiała — i nagle w płacz,
Sam śmiech ją rozplakał i trzęsie,
I lka i zanosi się łzami: «No patrz!
No patrz! rozplakało się szczęście!»

Ucichła powoli. I rękę na pierś,
Jak lilję na grobie, składa.
I patrzy daleko — i widzi śmierć,
Bezmyślna, zastygła i blada.

SATYRA NA KSIĘŻYC

Na księżycu — «martwa natura».
Na księżycu — literatura.
Błądzą po nim blade i śliczne
Primadonny somnambuliczne.

Piszą wiersze w szeptanej mowie
Przezroczyści kaligrafowie,
Łzy im z oczu na papier płyną
Gliceryną i sacharyną.

Gdy się taki mydłek rozelka,
Zaraz mgielka... szkielka... światełka...
Senność pełga po tafli płaskiej
Liżąc łapki omdlałym blaskiem.

Potomkowie srebrzystej mamci,
Świętojańscy fosforyzanci
Grzęzną słodko w lunarnym kleju
Po Dulacu i po Beardsley'u.

Krajobrazy, ach! krajobrazy!
Masłem kapią selenomazy
I oliwą na pergaminie
Ilustrują strumyk w dolinie.

MAGAZYN GASTRONOMICZNY

Oto panneau plastyczne tłustej epopei,
Sabat smakoszków, orgja bachusowo-czarci.
Rzekłbyś — zgłodniały Rembrandt wizjami wykleił
Tę szybę, pornografję wspaniałego żarcia.

Elektryczność zalewa złotym majonezem
Rozplataną różowość świeżego lososia,
Bazant w indyjskich piórach ananasa dosiadł,
Dziobem tkwiąc hypnotycznie w pękatej szartrezie.

Gruszki grzeją się w wacie, jak małe prosięta;
Czernią się rybie perły — lepki śrót kawioru;
A tam, jak biust na balu, indyczka, rozcięta
Siekącemi oczami szarych głodomorów.

I za chwilę — puszczone rozpaczą ostatnią,
Kamienie zbombardują okno wystawowe.
Lecz za szybą straż czuwa: baterją armatnią
Leżą butle szampana, do strzału gotowe.

RYCINY

Lata siedemdziesiąte, lata osiemdziesiąte,
Miedziorytowe lata!
Prowincjo naszego wieku, wiosno ojców daleka,
Przedmieście naszego świata!

Anglicy z bokobrodami, rudzi, pokratkowani,
New York — cichy jak Kraków.
Ach! «piszą nam z Paryża»... Ach! już machina chyża
Trwoży serca prostaków.

Fantastyczna rycina: zmrok, bufiasta dziewczyna
Z paluszkami przy podbródku,
Na ramieniu jej — ptaszek, w marzeniu — młodzieniaszek,
Tytuł: «Godzina smutku».

Tu straszny ludożerca misjonarza uśmierca.
Tam — widok na Niagarę.
I petitem w kąciку M. L. kwili w wierszyku,
Że dawno stracił wiarę.

Świecie rzewny i dawny! Kopersztychu zabawny!
Jak tu śmiać się nam z wierszy tych?
Wyblakły daguerotypie! I z nas się proch już sypie
I samiśmy jak kopersztychl

NOC UBOGIEGO CZŁOWIEKA

Krzywdo, nędzo plądrująca,
Dniu trudny, nocy koszmarna!
Z bliźnim, z człowiekiem strapionym
Użera się noc bezkarna.

Człowiek zerwał się na posłaniu,
Kamień snu z piersi odwalil.
Słucha. Noc syczy w mieszkaniu,
Zegar szepce: dalej, dalej, dalej.

Kaszle sąsiad za ścianą. Człowiek słucha.
Suchym trzaskiem skrzypnęła podłoga.
Dziecko śpi, spokojnie oddycha.
Szemrze ciszą izba uboga.

Mysi szurgot zapalek. Ćwierknął płomyk.
Zgasło. W mątwie tumaniają się sprząty.
Został w oczach odbłask niewidomy
I rozplynął się w bezład mętny.

I pomyślał człowiek o nocy,
O dziecku, o sobie, o ciszy,
O sąsiedzie, za ścianą kaszlącym,
O skrobiącej uparcie myszy.

I pomyślał: dalej, dalej, dalej...
A noc syczy, a zegar szepce.
Westchnął człowiek, snem się przywalił
I śpi, biedny, w ubogiej izdebce.

WIOSNA CHAMÓW

Dzień długo judził i dogrzewał,
Podniecał, wzmagal moce tajne,
Aż nocą wypuściły drzewa
Nagle dodatki nadzwyczajne.

Wybuchła wiosna — wstrząsająco.
Jak wojna. I do mieszkań hukiem.
A z mieszkań tłumem, armją grzmiącą,
Radością w bruk i w niebo brukiem.

Tak! brukiem, buntem w strop promienny,
W dach świata rąbie szturm kanalji.
I gromem armat stuwiosennych
W niebiosa chamska wolność wali.

WIEC

Ziało brednią, gorącem, czerwienią,
Febrą trzęsło i kołem szło.
Niewiadomo kto, jakiś henio,
Zaczął pleść niewiadomo co.

Przerzucalo się gorączkowo
Wypiekami z twarzy na twarz.
Straszny henio z zadartą głową
Wykrzykiwał, że jós, że czas!

Przysięgali mętnemu heniowi,
Kluski zdań wycharkując z grdyk,
I wpatrzeni zachwytem krowim
Na komendę rzucali ryk.

I zaczęli się tłoczyć i spiętrzać,
W piramidę gramoląc się wzwyż
I tak rosła brednia coraz większa,
A na szczycie stał—nieomal krzyż.

— Tak chamjo rozdziawione i ciemne,
Chamjo z akcentem na o,
Rozwrzeszczało te czasy nikczemne
W heniowate niewiadomo co.

Grzmij, tryumfuj, najplugawsze zło,
My będziemy twoim zerem i pastwą!
A ty—krwią uświetnione żelastwo
Po muzeach rozwieszaj, chamjo!

PLAJTA

KUPLETY

Coś się roi jak w malignie
W fabrykanckich tępych łbach:
«Wojna! wojna przemysł dźwignie,
Więc niech juchą ludzkość rzygnie,
Wojnę, wojnę zróbcie, ach!»
— Fówno, panowie! hówno, panowie!
Plajta, kłapa, koniec, krach!

Jeszcze pędzą Packardami
Z havannami w żółtych kłach,
A już trzeszczy pod kołami,
Zgrzyta coś między zębami —
Dziury w szosie? w gębie piach?
— Plajta, panowie! plajta, panowie.
Plajta, kłapa, koniec, krach!

Na dancingu mdleją w płasie
W mdłych oparach, w sennych mgłach,
Skacze kurwa przy alfonsie,

Zachwyceni, słodko trą się,
Dmie w saksofon blady gach:
— Hopla, maleńka! youpla, maleńka!
Plajta, kłapa, koniec, krach!

Salonkami byłych caric,
Wychudzone że aż strach,
Żydowice mkną do Biarritz,
Trudny wybór: Claridge a Ritz...
Maitre d'hotel je wita w drzwiach:
— Trup, baronowo! grób, baronowo!
Plajta, kłapa, koniec, krach!

Handelesy, giełdelesy
Stupiętrowy wzniesli gmach,
Będą robić interesy:
Funty, franki, dolaresy
Nawalili pod sam dach.
— Szmaty, panowie! śmietnik, panowie!
Plajta, kłapa, koniec, krach!

Mąż uczony w świetnej mowie
Wiedzą grzmi o rynkach, cłach,
Ratach, splatach, odbudowie,
Nagle urwał na półsłowie,
Zawył — w pulpit pięścią trach!
— Kłamię, panowie! bujam, panowie!
Plajta, kłapa, koniec, krach!

Od afery prohibickiej,
Od miljarda w brzuchu flach
Ameryce wzdęło cycki,
Huczy cocktail atlantycki,
Wre gwiaździsty w krwawych skrach!
— Yankee doodle, yankee dandy!
Plajta, kłapa, koniec, krach!

W cezarycznej krępej bani
Pycha kipil Z marsem w brwiach
Duce huczy: «Italiani!
Wy, karmieni i chowani
Na wilczycach i na lwach»...
... Grzmij, olbrzymie! Lecz i w Rzymie
Plajta, kłapa, koniec, krach.

Poszły popy, cary, biurok-
racja — wszystko «w puch i prach»!
Za pół roku, na psa urok,
Z każdej Tuły będzie New York.
Traktor — traktor — traktor trach!
Wszystko maszyna! (Tak się zaczyna
Plajta, kłapa, koniec, krach).

Emigrancki Marmieladow
Wzywa Scytów w pijanych łzach,
Sławian, «grad Kiteź», nomadów!
A Germanjak, schöner Adolf,

Grozi matem, krzyczy: szach!
I trzeszczą werblem z mistycznym feldfeblem
Plajta, klapa, koniec, krach!

Bombardyci, truciciele,
Vivat wasz morderczy fach!
Fosgenjusz! Wyższe cele
Nakazują, by szrapnele
Bily w lud po miastach, wsiach!
Walić i kwita! Prezentuj — jelita!
Plajta — klapa — koniec — krach.

DO PROSTEGO CZŁOWIEKA

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
przyklepać zaczną obwieszczenia,
gdy «do ludności», «do żołnierzy»
na alarm czarny druk uderzy
i byle drab i byle szczeniak
w odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
że trzeba iść i z armat walić,
mordować, grabić, truć i palić;
gdy zaczną na tysięczną modłę
ojczyznę szarpać deklinacją
i ludzi kolorowem godłem
i judzić «historyczną racją»
o piędzi, chwale i rubieży,
ojcach, pradziadach i sztandarach,
o bohaterach i ofiarach;
gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
pobłogosławić twój karabin,
bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
że za ojczyznę — bić się trzeba;

kiedy rozścierwi się, rozchami
wrzask liter z pierwszych stron dzienników,
a stado dzikich bab — kwiatami
obrzucac zacznie «żołnierzyków» —

— O, przyjacielu nieuczony,
mój bliźni z tej czy innej ziemi!
wiedz, że na trwogę biją w dzwony
króle z panami brzuchatemi;
wiedz, że to bujda, granda zwykła
gdy ci wołają: «Broń na ramię!»
że im gdzieś nafta z ziemi sikła
i obrodziła dolarami;
że coś im w bankach nie sztymuje,
że gdzieś zwęszyli kasy pełne
lub upatrzyły tłuste szuje
cło jakieś grubsze na bawelnę.
Różnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj, broniąc swej krwawicy:
«Bujac — to my, panowie szlachta!».

LUKSUS

NOVELA WIERSZEM

Jak niedzielę uświęcić? W tem samym mieszkaniu,
W schludnej powszedniej nudzie grzęznąć i miernocie?
Co zrobi biedny ojciec beznadziejnych pociech,
Mąż zahukany, smutek w śliwkowem ubraniu?

Coraz częściej nad sercem przekłuwa ból ostry,
Coraz rzadziej się drzemkę poobiednią utnie,
Coraz częściej, w niedzielę nawet, obiad postny,
Coraz rzadziej złotówka wolna. Coraz smutniej.

Kruszyła się nadzieja, jak ten tynk na ścianie,
Aż do zimnego muru. Teraz dziurą zieje.
Więc obnosi kamienne serce po mieszkaniu;
Jak duchy, wystukuje krokami nadzieję.

Miało być szczęście. Dawno. A czy było kiedy?
Gdzie? W piersi, pajęczyną kłopotów zasnutej?
Pod obwisłą pierzyną? W kwaśnym smrodzie biedy?
W gratach? w dzieciach grobowych? w biurze? gdzie?
Nie tutaj.

Wymarzył sobie szczęście puszyste, pluszowe,
Hawańskie i szampańskie... Hrabiowie i dziwki...
Frak, cylinder i monokl; uczyty luksusowe,
Kosze kwiatów na scenę i hojne napiwki.

Ale karnawał huczny, festyn tryumfalny
Został w snach. Nie dopuścił nawet na godzinę.
I tak skisł, mały, żółty, hemoroidalny,
Mściwie wzrokiem świdrując meble i rodzinę.

Więc czem pod sześćdziesiątkę pożądlive ciało
Uraczy w dzień świąteczny? gdy już nawet data
Czerwienią z kalendarza krzyczy, że zostało
Niewiele mu tych niedziel na igrzysku świata!

Otóż z trzeciego piętra stęchłej oficyny,
Od szajki dębinosów i jędzy w szlafroku,
Od dziobatej kucharki i zwiędłej pierzyny,
Zaplutemi schodami splywa jak w obłoku.

I zaczyna się zgrywać. Niewiadomo przed kim,
Bo przechodnie nie patrzą: idąc, gwiżdże walca,
Nóżkami podryguje, laskę kręci w palcach
I oczkiem słodko strzela — baron z operetki.

Do wielkiego hotelu wchodzi. Na portjera
Zerka z trwogą, choć baron i bywały w świecie.

Aż wreszcie upragnione znane drzwi otwiera,
Zamyka się — i z ulgą wzdycha. Jest w klozecie.

W białolśniącej, kaflowej i zacisznej celi,
W surowo higienicznym, przesadnym komforcie,
Dumnie siada na tronie święciciel niedzieli
I pyszni się samotnie w wytwornym aborcie.

Twarcz na dłoniach opiera i zamyka oczy,
Mruczy swe sny nikczemne o hulaszce pompię,
O tem, że młody, sławny, bogaty, uroczy,
W szampanie primadonnę ubóstwianą kąpie.

A na górze w hotelu ma apartamenty
I łożę z baldachimem i stół zastawiony.
Hrabia Zyzio się bawi! Gra w karty, urzęnięty.
Va banque! Miljon! I szept: szalony, szalony!

W malignie nędznej, blahej fantazji omdlewa,
Wmawia sobie belkotem swój tryumf zwycięski
I niestworzone arje o swem szczęściu śpiewa.
A gdy budzi się, płacze i za matką tęskni.

Potem, błędny, wychodzi z groźnego igrzyska.
Długo szpera w kieszeniach... ma złoty dwadzieścia.
Więc sennej babie w kącie wszystko w łapę wciska:
Upiorne honorarium za godzinę szczęścia.

MIESZKAŃCY

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach
Strasznie mieszkają straszni mieszczanie.
Pleśnią i kopciem pełznie po ścianach
Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana belkot. Belkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,
Krawacik musną, klapy obciągną,
I godnym krokiem z mieszkań — na ziemię,
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapięci szczelnie,
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc — widzą wszystko oddzielnie:
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto, biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż, papierowym wzdęte zakalce,
Wypchane głowy grubo im puchną.

I znowu mówią: że Ford... że kino...
Że Bóg... że Rosja... radjo, sport, wojna...
Warstwami rośnie brednia potworna
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Głowę rozdętą i coraz cięższą
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.
Pod łóżka włożą, złodzieja węższą,
Lbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,
Spodnie na tyłku zacerowane,
Własność wielebną, święte nabytki,
Swoje, wyłączne, zapracowane.

Potem się modlą: «...od nagłej śmierci...
...od wojny... głodu... odpoczywanie»
I zasypiają z mordą na piersi
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie.

KAMIENICE

Dom jak więzienie,
Kamienna twierdza.
Ludzie codziennie
Na siódme piętra
Dźwigają serca.

Odpoczywają
I wyżej idą
I liczą stopnie.
Stają przy oknie
I na podwórze
Patrzą samotnie:
Dno, uwięzione
Wkamiennej rurze,
Tunel stojący
Sztorcem ku górze,
Tunel przebity
W żalobnym murze.

Palą zapalki,
Czytają kartki
Na drzwiach przybite.
Jeszcze nie tutaj!
Niosą i niosą
Schylone karki,
Ręce wiszące,
Serca walące,
Zdyszane płuca.

Przynieśli serca,
Przynieśli ręce,
Stoją pod drzwiami;
Ciężko zdyszani
Czytają z ulgą
Znane nazwisko.
A w piersi bulgot,
Bulgot otchłani.
(A w tej otchłani
Zamknięte nisko
Między murami
Szare kolisko:
Przyziemne, szcurze
Ciemne podwórze).

Już noc w lachmanach
Na dachach siada,

Ciemne gałgany
Gnuśnie rozkłada.
Idą do okien,
Patrzą ku górze:
Oto powoli
Z niebios opada,
Tunel zamyka
Drugie podwórze.

Z. 11859

PATRYOTA

Karczemny jestem człowiek,
karczemny patryota,
chmielny mój zamiar ziemski,
pijana w życiu ochota.

Gardłuje jeden z drugim
za Polskę mocarstwową,
a tobie za imperjum
kąć w szynku, bujna głowo!

Tobie naftowa lampka
Indjami w butelkach płonie,
nędzę ojczystą przetapiasz
w stare zamorskie kolonje.

Djabła tam łopot sztandarów
i bohaterskie dzieje!
Śmiechem najtkliwszej miłości
śmieję się w Polsce i chwieję.

Jaka tam «harfa eolska»?
Bas i dwie skrzyпки w karczmie.
I taka starczy mi Polska,
rzępoląca jarmarcznie.

Trafiłbym do niej słuchem
z pod tropikalnej palmy,
na nic mi króle-duchy
albo hrabiowskie psalmy.

A niechże się miss Gdynia
sto razy wyameryczył
Mnie — kozienicka świnia
serdeczniej w rynku kwiczy.

W Krościenku na odpuście
urząłem się z furmanem:
Persjo moja! Tartarjo!
Colorado pijanel!

Och, wietrze za oknami,
a tobie jaka troska?
Brzęczy strunami deszczu
strasзлиwa pieśń dziadowska.

ZIMA

Boyowi

O ciemnej szóstej
W mroźny poranek
Bębni w ulice
Jazgot blaszanek.

Huczy po bruku
Wolno, daleko.
W sinych blaszankach
Bulgoce mleko.

Konie parują,
Ludzie się chwieją,
Wozy skrzypiące
Ciężko kuleją.

O ciemnej szóstej
W mroźny poranek
W sen mój się włąkał
Werbel blaszanek.

W grubym kożuchu
Drzemię na koźle,
Chucham jak matka
W sny moje mroźne.

Żywot mój senny,
Znieruchomiały
Zalewa belkot
Mleczny i biały.

Biały i ciepły
Bulgot matczyny
Tuli mnie w łonie
Pod burką zimy.

Już mnie poczęło,
Już się zaczynam,
Tchnieniem się błąkam
We śnie matczynym.

W mleku dalekiem
Echo kołysze,
Dudnią furmanki
Wciąż dalej, ciszej.

W gładym korycie
Przebieg na kółko
Chocian jak mianem
W mym moim mianem

Wywot mił senny
Zawieszony
Zawieszony
Mieszki i białe

Białe i białe
Białe i białe
Tęże mianem w łonie
Pod senny senny

Jak mianem senny
Jak mianem senny
Tęże mianem w łonie
W mianem senny

W mianem senny
Echa senny
Dobrze senny
Wojciech senny

SPIS RZECZY

	Str.
<i>Biblia cygańska</i>	3
<i>Życie codzienne</i>	5
<i>Trud</i>	6
<i>Muzyka</i>	7
<i>Sława</i>	8
<i>Wiersze z głuchym końcem</i>	9
<i>Dancing</i>	10
<i>Zbrodnia</i>	12
<i>Dzionek wiosenny</i>	15
<i>Rodzina</i>	17
<i>Ciemność</i>	18
<i>Eksperyment</i>	19
<i>Trawol</i>	23
<i>Wiersz</i>	24
<i>Suma jesieni</i>	26
<i>Światło</i>	27
<i>Akwarjum</i>	28
<i>Fakt z redaktorem</i>	29
<i>Muza</i>	30
<i>Wielkie chorągwie (z Chodasewicza)</i>	32
<i>Owoc</i>	34
<i>Strzelanina</i>	35
<i>Wieś</i>	36
<i>Czterowiersz</i>	37

	<i>Str.</i>
<i>Kuracja</i>	38
<i>Wizyta</i>	39
<i>Skandal</i>	42
<i>Listy miłosne</i>	43
<i>Temat</i>	44
<i>Złota polska jesień</i>	45
<i>Cel</i>	47
<i>Apokalipsa</i>	48
<i>Spostrzeżenia w wagonie sypialnym</i>	49
<i>Burza (albo miłość)</i>	50
<i>O sobie</i>	51
<i>Odpowiedź</i>	53
<i>Trzy lata</i>	54
<i>Tragedja nad jeziorem</i>	55
<i>...et arceo</i>	57
<i>Wspomnienie Rzymu</i>	58
<i>Zachód</i>	59
<i>Venus</i>	63
<i>Przechodzień</i>	67
<i>Ptak</i>	68
<i>Do losu</i>	70
<i>Trudy majowe</i>	72
<i>Rozważania w cukierence</i>	73
<i>Scherzo</i>	75
<i>Satyra na księżyc</i>	76
<i>Magazyn gastronomiczny</i>	78
<i>Ryciny</i>	79
<i>Noc ubogiego człowieka</i>	81

JULJANA TUWIMA

WIERSZY

Czyhanie na Boga
Sokrates tańczący
Siódma jesień
Czwarty tom wierszy
Słowa we krwi
Rzecz czarnoleska
Wiersze zebrane

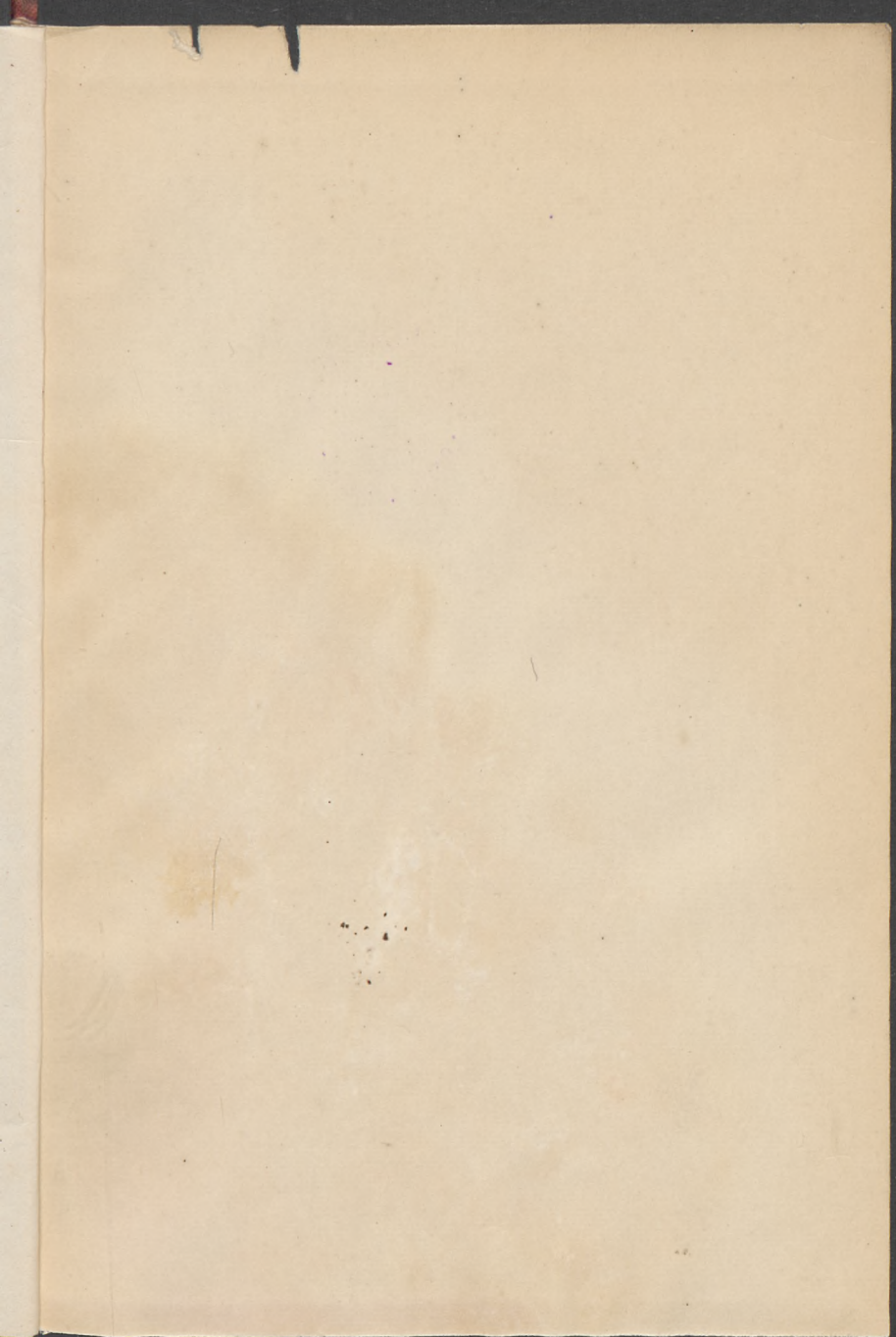


PRZEKŁADY

Balmont i Briusow
Majakowskiego «Obłok w spodniach»
Rimbaud (wspólnie z J. Iwaszkiewiczem i in.)
Słowo o wyprawie Igora
Puszkina «Jeździec miedziany».
Puszkina «Wybór wierszy» (w przygotowaniu)

STUDJA OBYCZAJOWE

Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksiężskie.
Polski słownik pijacki (w druku)
Dzieje pijaństwa w Polsce (w przygotowaniu).



240

